

TYGODNIK W I L E Ń S K I

Ner 148.

Dnia 15 Października 1819 roku v. s.

O G R A C Y I.

W dziełach sztuk i nauk.

Trudno jest i może niepodobna dać dokładną definicyą *Gracyi*, któż opíše ten delikatny wdzięk kształtu i wyrażenia, który okazując się czasem w dziełach natury i sztuki, ma jakąś nieoznaczonność, która się wszelkiemu opisaniu odeymuie? Łatwiej ją można uczuć, aniżeli opisać iéy istotne cechy. Staraymy się iednak powziąć niejakie wyobrażenie, o téy własności dzieł natury i sztuki, bez którój naydoskonalsza piękność nie może wzbudzić téy słodkiej ponęty, która przychylnosc i miłosc rodzi. Zabawki i igraszki dziecinne wystawiają nam przykład widzialney *Gracyi*. Członki ich są giętkie i powolne, wzruszenia ich duszy są żywe i proste. Z tych własności w ich czynnościach, łatwość i

wolność, w ich mowach naturalność i szczerść, która się dziwnie podoba. Ta ważność którą przywiązują do rzeczy drobnych, powaga, z jaką trudnią się i zajmują swemi fraszkami, ciekawość pełna szczerści, nagła radość, smutek bez przyczyny, i znów niespodziany, a zawsze naturalny przechód do wesołości; skargi, lzy i troski tych interesujących iestestw, są prawdziwym obrazem gracy, jeżeli w dzieciach dobrze wychowanych, edukacya i nałóg nie zniszczyły, lub nie przytłumiły uczuć i poruszeń wrodzonych serca. Gracya w dziele iakiém, albo w osobie, nie tylko znaczy to co się podoba; ale razem pociąga nas i przywiązuje. Dla tego u Greków zawsze bogini piękności towarzyszyły gracye, trzy Nimfy charytami nazwane i bez których, iak Pindar mówi, żadne uroczyste święto bogów, obchodzone byź niemogło. Wszakże prawdziwa piękność nie może się nigdy nie podobać, ale może byź ogołocona, z tych tajemnych powabów, przez które ku niej pociągnięni, zapatrujemy się z przyiemnością i nie możemy od niej oderwać oczu. Gracya w ruszeniu, w postawie, w działaniu, w mowie, zależy od tego niewymuszonego wdzięku, który wszystko miłém czyni, najpiękniejsza twarz nie będzie miała *gracyi* jeżeli na zamkniętych ustach nie osiedzie miły uśmiech, i weyrze-

nie nie wyrazi żadney łagodności. Gdy poważna i piękna Juno u Homera chce się podobać wysokiemu małżonkowi swojemu, składa powagę swoją, a u Wenery pożyczą czaruiącey taśmy, w której się gracye mieściły. Głos mowy jeżeli nie ma przyjemnego nagięcia, skłonienia i słodczy będzie bez gracyi. Toż samo rozumieć można o pięknych naukach i sztukach. Jedność, proporcya, rozmaitość, nie zawsze łączą się z gracyą. Nie można mówić aby piramidy Egiptu miały gracyą, ani, żeby kolos rodyjski miał przyjemność knidyjskiej Wenery. Michał Anioł i Corregio, których dzieła mają moc i wielkość, nie mają gracyi Tycyana, ani Albana. Górną jest VI. księga Eneidy, ale IV. ma więcej przyjemności; wysokie są ody Pindara, ale pieśni Anakreonta prawdziwey gracyi są wzorem; w naszym języku poezye Kochanowskiego, Krasickiego, a osobliwie Karpińskiego, mają ten wdzięk słodki, ten powab ukryty, który przez uczucie daje nam wyobrażenie gracyi w pisaniu.

Jeżeli inne przymioty upatrzone w dziełach nauk i sztuk pięknych, sprawiają na duszy przyjemne wrażenie, tedy nayszczególniej uczucie gracyi. Nie tylko bowiem że gracya nie może się znajdować, oprócz w dziele mającém w sobie wiele innych zalet stanowiących piękność, ale jeszcze przynosi

duszy rokosz długo trwałą i nawet tę, która się coraz odnawia. Im dłużej się wpatrujemy w dzieło, im dłużej rozważamy pismo złożone pod natchnieniem gracyi, tym większą czujemy rokosz. Czucie iéy odmienia się ustawicznie podług różności punktu, z którego się na nią zapatrujemy, i różney dyspozycyi duszy. Raz iest to żywa i niewinna wesołość, drugi raz swawola i dziwactwo nawet, uprzyemnione szczerością i prostotą; znowu iest to łagodny i cichy smutek, albo tkliwe rozrzewnienie. *Górność, nowość, piękność*, czyni na duszy wrażenie iedno, które chociaż żywe i mocne, w iednym zawsze trwa stopniu i natężeniu, ale gracya zachwyca coraz nowemi dostrzeżeniami i od wrażeń słabszych do najmocniejszych postępuje.

W poczuyi i wymowie nieomylnym znakiem gracyi iest ten wyraz lekki i słodki, który zdoła zdaiąc się ukrywać, iest ten powab który przywiązuie w czytaniu, i którym uięci przebaczamy wadom albo ich nie dostrzegamy, nie przestałemy na iedném odczytaniu, a w każdym powtórzeniu nowe odkrywamy zalety. Tak każda z baiek Lafontena, albo sielanki Karpińskiego ma tę czarującą przyiemność, która ią zawsze nową czyni, iuż ią umiemy na pamięć, a przecie z rokoszą słuchamy powtarzania. Gracya może byđż połączona z powagą i go-

dnością, równie iak ze swawolą i dowcipnym żartem. Ona towarzyszyła Platonowi w jego metafizycznych dociekaniach, i w nauce obyczajów, Xenofontowi w jego historii; ale i żartobliwy Arystofanes był słusznie nazwany wychowawcą Gracyi. Naturalność i łatwość są istotnemi gracyi częściami, wymus i przysada nie mogą się nam podobać, i owszem zawsze obrażają. Nie są nam mile sposoby obchodzenia się i mówienia wykwintne i nienaturalne, czuiemy wstręt od zbyt prostych i grubiańskich; prawdziwa przyjemność znajduje się w pewnej wolności i łatwości, która jest środkiem między temi dwiema ostatecznościami. Zda się że sposoby postępowania i mówienia naturalne powinny być najłatwiejsze i najpospolitsze; dzieje się jednak przeciwnie. Pozbywamy się ich przez wychowanie i przez nałóg ustawicznego przymusu. Gdy więc takie znajdziemy w dziełach natury lub sztuki, mile wzruszeni jesteśmy. Podoba nam się pewne iakieś zaniedbanie i nieporządek w ubiorze, ukrywające staranie, których niewymagała przystość a nakazywała próżność. Człowiek dowcipny jest wtedy najprzyjemniejszym, gdy to co mówi, zda się być niezamierzonym i nie wyszukanym. Ze wszystkich sposobów mówienia, styl szlachetnie prosty, w którym się postrzega największa

łatwość, jest oraz najtrudniejszym, jest to ten o którym powiedział Horacy:

Ut sibi quisque speret idem,
Sudet multum frustraue laboret ausus idem.

Muzycy przyznają iż nóty, które się najłatwiej śpiewają, są najtrudniejsze do złożenia. Nie często się zdarza aktor, któryby umiał udawać doskonale dziecienną szczerłość i niewinną prostotę. Takie są cechy i takie zalety *łatwości*, która z gracyą łączyć się musi. Starożytni uwielbiali ją w malowidłach Nikomacha i w wierszach Homera. Appelles wyrzucał Protogenesowi zbytnią usilność w robocie, a nieprzyjaciele Demostenesa, twierdzili, że zapach lampy daie się czuć w iego mowach. Lecz sądzić nie należy, iż dzieła które z wielką łatwością przychodziły ich autoróm, noszą tém samém na sobie łatwości cechę. Ktoby się spodziewał, żeby wiersze Rassyne tak miłe i tak łatwe, tak wiele pracy kosztowały rymotwórcę; gdy przeciwnie, wiersze Kornelowi z największą przychodziły łatwością? Najczęściej łatwość, która się nam podoba, jest owocem długiej i trudnej pracy. Horacyusz ustawiecznie poprawiał swoje poezye, mówią że nieodczytywał ich nawet plynny i obfity Owidyusz: ale w dziełach Horacego wszędzie, w Owidyuszu czasem tylko wydaie się ta zachwyca-

iąca łatwość, która jest zawsze gracyi towarzyszką.

P I E L G R Z Y M K A.

DO GROBU J. J. RUSSA.

Przechadzka trzecia.

(*Obacz Numer 146. str. 129.*)

Słodka osobności! niewyczerpane źródło szczęścia, rzetelna czuley duszy pociecho; ty jedna daiesz nam czuć przyjemność życia, cenić dobrodzieystwa i kochać ludzkość; ty jedna słodzisz przykrości, uwdzięczasz myśli i zbliżasz człowieka do natury i prawdy; iak drogie i miłe czynisz korzyści dla tego, kto cię szacować umie!... Występkę i zgryzoty nie mają do niego przystępu, dni życia jego upływają swobodnie na łonie cnoty. Niezna on ponurey zazdrości, fraso-wney pychy, ani zgryźliwey zawiści, które są chłostą miast wielkich, gdzie chciwość, rozwiozłość i zbytek nie wstają nigdy z łoża boleści. Bogaty mieszkaniec miasta zdaie się bydz szczęśliwym, ale to szczęście jest pozorne. Powodowany bezprzestannie namiętnościami, ledwo ma czas pomysleć o tém, że żyje; ale iak i na iaki koniec żyje? Przesyt rokoszy przytlumia w nim czulość, i taki człowiek *umiéra nie żyjąc*. Przeciwnie,

człowiek wiejski z wyboru i upodobania lubiący osobność, który nie może patrzeć obojętnie na przedmioty natury, a wszelkie sprawy i myśli swoje stosuje do stwórcy tylu przedziwnych cudów, jest istotnie szczęśliwy, bo byź nim umie. Całą moralności jego zasadą jest, *zdanie się na wolą Boską i wdzięczność stworzycielowi swemu*, iedno wstrzymuje go od wyrzekania na przykrości, drugie tchnie weń codzienny hymn, który każda myśląca istota śpiewać powinna opatrzonej dobroci. Wszystkie myśli jego są słodkie i spokojne, iako dzieci czystego sumnienia; wszelkie zatrudnienia jego są szlachetne, iako stworzenia obdarzonego rozumem. We wszystkiem znajduje uciechy i roskosze iakich nieznaną tłumnie i gwarliwe towarzystwa mieyskie. O osobności! te są dobrodzieystwa twoje, tyś była bożyszczem *Jana Jakóba*, ty iesteś naymilszą skłonnością malarzów natury i czułych poetów, bądź i moją zawsze nayupodobańszą zabawą!

Nazajutrz obudziwszy się, niemieszkując wstałem spieszno; zostawało mi bowiem ieszcze tyle mieysc do odwiedzenia że było na cały dzień. Znowu udałem się już sam ieden do tak zwanej *pustyni*. Prowadząca ku niej dróżka znana pod imieniem *ścieżki J. J. Russo*, zaczyna się poniżej *Ermenonwilu* prawie od samego płotu. Trzeba przechodzić osobliwszą bramę; drzwi u niej

z gałęzi wierzbowych, a nade drzwiami leży pień dziwacznie zrosły w różne kształty. Na nim był kiedyś napis w takiej myśli:

*Naylichszy węglarz w swej chacie,
Jest iak Pan na maiestacie.*

Przebywszy tę ścieżkę krętą a razem i przykrą dla wielu umyślnie tu i ówdzie nasadzonych przeszkod, obaczyłem nakoniec *Wietrzną Jamę* (creux du vent); jest to piękna w przyiemnym położeniu grota, wyrobiona w skale i mchem obrosła. Powiadaią że w 1779 roku, Józefowi II Cesarzowi, posłużyła za schronienie od sławney podówczas w miesiącu maju burzy. Z tego powodu takowy miała napis:

*Przechodniu! obojętnie nie miłay tey groty,
J ona zasługuie na twe uważenie:
Mimo swoiey dzikości w czas burzliwey słoty,
Służyła uwieńczoney cnocie za schronienie.*

Dostałem się nareszcie do *chaty Jana Jakóba*, leży na naywyższym i nayosobniejszym miejscu *Pustyni*, wpośród sterczących glazow, które iakby zagradzały weyście złym ludziom do téy świątyni. Patrząc z téy wysokości dzika wystawia się perspektywa, niby natura odkryta na obszernym anfiteatrze. Okoliczne góry, posepna farba sosen i modrzewiów, poziome krzaki iałow-

ca ścielące gałęzie swoje na pochyłości pagórków, obnażone skały, rozmaitość drzew, biały piasek *Pustyni*; wszystko nadaie téy okolicy widok ponury, wszystko zdaie się przemawiać do nieszczęśliwych: *chodźcie tu; tu, wasze mieysce. W samey* rzezy widok tego wszystkiego zwraca uwagę i zniewala do myślenia. Czolo moje oblało się potem od upału i pospiechu, z którym chodziłem oglądać wszystko cokolwiek otaczało *chatę J. Jakóba*; wszedłem do niey dla odpoczynku. Pod zielonym baldachimem starożytnego gaju, w cieniu gęstey akacyi, na ubarwioney łące, albo nad brzegiem czystego źródła nie doznawałbym tyle przyjemności ile w téy pustce. Tysiąc zachwycających uczuć zaięły całą istotą moją w mieszkaniu autora *Heloizy*. Zdawało mi się że słyszał głos iego, że dobroczynny duch iego unosił się kolo mnie w tém słodkiem marzeniu niał mię sen, ale iaki sen! ... Na elizeyskich tylko polach kosztować takiego można. O! iakże mi niepodobna wyrazić tego com doznał przez tę krótką chwilę mimowolnego uspienia! Nadludzka radość upaiała duszę moję w mnóstwie cieniów ulatuiących przedemną widziałem mych lubych przyjaciół, krewnych, widziałem matkę moję uśmiechającą się do mnie; rozmawialiśmy oboie z *J. Jakóbem*, widzieliśmy go takim iak był w istocie, dobrym,

czułym, sprawiedliwym, liłośnym, troskliwym o dobro bliźnich i — niestety! przebudziłem się. Chciałbym spać zawsze gdyby mi sen tak szczęśliwe rodził marzenia.

Nic nie zostało należącego do téj chaty czego bym z pilnością nieobeyrzał. Wszystko znalazłem spustoszone, wszędzie widać było ślady wściekłego zaslepienia nowych Wandalów. Między kominkiem i łóżkiem, które składał tylko płaski i gładki kamień wychodzący ze ściany, ktoś napisał. *Jan Jakób Rousseau nieśmiertelny*. Chata oświetlona jest dwoma od wschodu oknami. Wychodząc po prawey stronie na kamieniu przeczytałem tę tkliwą prawdę, podobno własną jego ręką napisaną.

Nigdzie z większem upodobaniem człowiek nierozważa przyrodzenia wszech rzeczy, iak na wierzchołkach gór. Tam będąc sam na sam z naturą przyymwie od niej silne natchnienia które duszę jego wznoszą nad poziom przesądu i błędów.

Na drugiey stronie także, to piękne zdanie

Ten tylko prawdziwie wolnym nazwać się może, kto nie potrzebuie rąk cudzych do zaspokoienia swoich chęci.

Ta chata a raczey grota pokryta jest słomą i ocieniona wielu drzewami. Święte i nieskażone mieszkanie, rzekłem sam so-

bie, nigdy cię nie zeszpecił ani gnuśny przepych, ani wyuzdana rozpusta. W twoich skromnych ścianach wstydlivość ten klejnot młodości.... W twoiey dzikiey zagrodzie surowość przebywała *Genewskięgo KATONA*. Każdy człowiek, który cię odwiedzać będzie zadrży tkliwym przerażeniem i poczucie wpływ bczkiego gieniuszu, który w tobie przemieszkiwał. O *Russo!* chodziłem po ziemi zaszczyconey przez ciebie, siedziałem na twey upodobaney ławce, byłem w twey grocie gdzie używałeś spokoyności tak potrzebney dla człowieka myślącego; teraz jestem w schronieniu, w którym się kryłeś od prześladowców niesprawiedliwych, gdzie z pogodą duszy mściłeś się za zloczynyństwa ludzkie buduiąc ich szczęśliwość.... gdzie poprawiałeś swojego *Emila*, dokończyłeś swey *konfessyi* uczącey nas znać i sądzić samych siebie.... gdzie trudniłeś się botaniką, tą nayprzyjemnieyszą nauką, która wiecznie będzie roskoszą dusz czułych a chwałą *Turnefortów, Linneuszów, Ziussiiow (Jussieu)* i t. d. Twoiemu iasnemu i powabnemu téy nauki wykładowi winien jestem wiadomość w niéy i upodobanie. Ktokolwiek czyta, chce doznać takich samych uczuć iakie ciebie przeymowały gdyś patrzył na rośliny, które opatrzość dla licznych dobrodzieystw swoich tak licznie zasiała pod naszymi nogami, aby nam i wiel-

kość swoją okazać i do wdzięczności pobudzić. Wdzięczność to anielskie uczucie; które nas naysłodszy zbliża do stwórcy przyrodzenia, słusznie jest zwana matką wszystkich cnót. Szczęśliwe serce, które mieści w sobie tę naysłodszy skłonność. Człowiek wdzięczny w dojrzałym wieku, koniecznie był takim od dzieciństwa i nie innym będzie w naysłodszy starości. Młodem jeszcze niemowlęciem będąc uśmiecha się z umizgiem do troskliwej o niego matki i małuchnymi rączkami muszcząc ją po pierśiach, daje znaki wdzięczności, którą cała jego choć niewielka osóбка wskrós przeięta; cwoż pierwsza próba jego czułości. Podrosły dziecina, lubiąc bez ustanku słodkie *matki* szczebiotać imie, wdzięcznymi pieszczotami swými naysłodszy iéy uśmiech dobywa z serca. Potem młody człowiek przyymuje do duszy wszelkie wrażenia czułości, głosi cnoty, których jest żywym obrazem, i tak ustami iak i piórem, wyjawia czucie serca swego. Na starość śpiewa hymn wdzięczności i złożyć dziekiemu sercu nieczułego człowieka, którego żadne dobrodzieystwa ani wzruszają ani obowiązują. Niewdzięcznik jest plagą społeczności ludzkiej, potwór piekła wyzioniony przypominający nam nieczyste duchy, których *Milton* wyrazistym pędzlem tak żywo odmalował w *Raju utraconym*! Ani

przyjaźń, ani ludzkość, ani żadne tkliwe uczucie nie powstały nigdy w jego sercu. Słodkie imiona, żony, dziątek, przyjaciela, są mu nie do smaku; nikczemnik nie żyje ale kuglarzy między ludźmi nie nieczując.

Opuściłem tę szanowną pustkę; chwile były drogie a jeszcze mi wiele zostawało do widzenia. W niedalekiej odległości postrzegłem ławkę na wierzchołku skały od samej natury ukształconą, jakby umyślnie dla wygodniejszego patrzenia na wschód słońca. Wszedłem, siedziałem na niéy i postanowiłem sobie jeszcze nieostatecznie raz tu używać przyjemności tego najwyższego widoku, którego zgoła nieznają po miastach. Prawdziwie mieszkańcy miast nieznają natury. Wychowanie ich kunsztowne, tłumi wszelkie przymioty przyrodzone. Jak młody wychowanec może powziąć prawdziwe wyobrażenie szczęśliwości, gdzie mu ją wystawiają w samych bogactwach i świetnych a czeźnych honorach? Samolubność jego podsyca się widokiem raptownych odmian szczęścia, serce dziczeje. Poczytuje się szczęśliwym wtenczas kiedy biedzi się boiaźnią utraty swego losu. Wygrał, jeżeli jeszcze zgrzyoty nie zatruią mniemaney doli jego. Wy! co nieznając rozumiecie o szczęśliwości, otworzcie dzieła *Russa*, tam ją znajdziecie.

Każdy z was może być iéy pewnym kto tylko z czystém sercem i nieuprzedzonym umysłem czytać będzie pisma iego. Ten wielki mąż zaleca ściśle wykonywać swe powinności, wspomagać biédne wdowy i sieroty, szanować ich wiarę i zwyczaje, słuchać głosu prawdy i własnego sumnienia Ach gdyby on żył wprzód nim wieki dzikości i błędu nastaly, ileżby oszczędził krwi ludzkiej. Nieśmiertelne dzieła iego, obudziły człeka z zastarzałego letargu i powróciły go nazad naturze. Jak słońce oświecając świat sprawuje płodność ziemi, tak on iaśniejąc zwierciadłem prawdy czynił ludzi swobodnymi i cnotliwymi. Rzekł, a dzieci poznały należną cześć swym rodzicom, matki polubiły pieczołowitość odzieci, a małżonkowie wzajemną wierność. Był on pochodnią swojego wieku, którą gdy śmierć gotowa już była zgasić przed zawziętością nieprzyjaciół i ciemnizycielów swoich, mógł być z mantuańskim powiedzieć poetą:

..... Vixi,
 Et quem dederat cursum fortuna, peregi.
 (żyłem,
 I iaką los mi dolę wyznaczył. spełniłem).

Zszedłszy z góry z żalem oddalałem się od lubey *Pustyńi*, która mi wiele pożytecznych uwag podała. Oczy moje często

się ku niej zwracały, chciałem był zawsze ją widzieć i w niej przebywać. Tymczasem idąc przez kwieciste a przyjemnie wonne pagórki i doliny, naszedłem na niewielką budę pod drzewem wiązowym niezmierny wielkości. Na korze przeczytałem dwa wiersze:

*Tu pod tém drzewem szczęśliwy zostałem
Gdy się me uczucia Luizie wyznałem.*

W górze na gałęzi postrzegłem parę młodych synogarlic miłośnie pieszczących się z sobą. Serce moje czule przejęło ukontentowanie widząc ich wylanych na samą rokosz i słodycz miłości małżeńskiej; czule gruchotanie, zobopólna zalotność i przywiązanie wyrażały ich szczęśliwość. O! iak los ich godzien zazdrości.

O kilka ztąd kroków przyszedłem wielkie jezioro gdzie na brzegu stała *Świątynia miłości*. Na ten widok serce zadrżało w mych piersiach wnet stanęły mi na myśli wszystkie tajemnice bożnicy knidyjskiej, a razem *Świątynia Wenery*, którą nieśmiertelny *Montesquieu* wystawił dla maleńkiego bożka noszącego w swym kołczanie szczęście i udręczenia ludzkie Te myśli napelniły mi serce nieiaką rokoszą; w tém uczuciu rozważając iak natura w najslodszej przyprawie życia, miłość uczyniła wszelkiego stworzenia potrzebą,

którey żeby się uczyniło zadosyć przywią-
zała do niey dla przynęty nayroskoszniej-
szą pożądlivość i słodycz; iak nierządna
imainacya ludzka czyni z niey chimereę
w swoich uciechach dziwną, a ta chimera
iak często czyni ludzi nieszczęśliwemi, na-
koniec iak to naymilsze czucie w nieska-
żonych sercach niewinnie się zajmuie i nie-
winnie dopełnia. Tu, rzekłem sobie, na tey
murawie, w tych cieniach iakże wiele mu-
siano palić ofiar, iak wiele czynić przysiąg,
iak wiele wypuścić gorących westchnień!..
Tu nieraz lękliwe dziewcze rozmyśla nad
wyznaniem czulego kochanka.... Boiażn
i nadzieia iakże silnie miota iéy sercem!..
Czy bydz srogą?.. Czy ośmielić młodzień-
ca, który przy niéy na nią oczu podnieść
nieodważa się... Może dla spokoyności swo-
iey chciałaby nieprzyiąć oświadczeń z któ-
rych się cieszy wewnątrznie, lecz potrzeba
kochania i bycia kochaną przelamnie iéy
ostróżność, przechyla na stronę wielbiciela
i daie mu promyk nadziei.... rzuca oczy
na młodzieńca, który w skromney przy-
niéy postawie, ze słodką obyczaynością,
wdzięcznemi usty maluie śliczną duszę swo-
ią; on skoro to postrzega, wyciska na iéy
ustach różanych zadatek czuley miłości,..
ona okrywa lice rumieńcem, który iest
znakiem walki wnętrzney wstydu z chęcią..
rozum ustępujący miejsca sercu te tylko

podaie do ust iéy wyrazy: o miłości! ty ie-
 steś panią duszy moiey, wiesz moie nay-
 czystsze zamiary, miey innie w swoiey opie-
 ce zawsze, niedopuszczay aby ten upominek
 miał kiedy zatruć szczęśliwość którey ty
 iesteś strażą Ja nieobojętnym będąc
 takich uczuć tłumaczem, rzekłem takż. Miły
 bożku Cyterski! day mi iak nayrych-
 ley otrzymać tę, którey przyiemność ieszcze
 w młodzieństwie moim była mi luba, a od
 którey srogi los żyć mię w oddaleniu przy-
 musza. Zachoway cnoty i wdzięki iéy od
 skażenia; niech iéy czulość i rozsądek na-
 będą zdolności bydź strażą i poradą moią,
 niech iéy żądania innego nie mają celu iak
 wzajemną szczęśliwość naszą, niech polubi
 obowiązki stanu swego i obowiązki ludz-
 kości, nakoniec niech słodki węzeł wrodzo-
 ney miłości naszej, kieruie myślami nasze-
 mi od początku do końca!

Tak wyłożywszy moje życzenia, po-
 szedłem bliżey, przypatrzeć się owemu ko-
 ściolkowi. Stoi na piękney murawie ze czte-
 rech potężnych kamieni złożony, ma kształt
 misterny, który mu wielce iest właściwy.
 Na około tyle iest wonnego kwiecica, że za-
 pewne, sama *Flora* dla własney zabawki po-
 trzęsła swemi skarbami. Rozliczne wdzięcz-
 ne fiałki, śnieżne konwaliie, - kraśne róże
 i mnóstwo ianych wystawiały pagórki i łą-
 czki barwistemi wyslane kobiercami. Na

kamieniach różne widać napisy. Pierwszy wyięty z *Tassa* w tych słowach.

Mè pur sì aspre vie, na si selvagge
Cercar non sa, ch' amor non venga sempre
Ragionando con me co, ed io con lui...

*(Darmo uciekam w przykre bezdroże,
Darmo się kryję w naydzikszce toni,
Skryć się pod ziemię nic nie pomoże,
Niezbędna miłość wszędy mię goni;
Nadto przez wspólność iakąś tajemną,
Zawsze z nią iestem a ona ze mną).*

Drugi był w tych słowach:

Di pensier in pensier, di monte in monte
Mi guida amor, et pur nel primo sasso
Desegno con le mente il suo segno.

*(Z góry na górę z myśli do myśli,
Miłość mię wiedzie, mną rządzi wcale
Imie iéy nawet gdy rznę na skale
Choć moią ręką lecz ona kryśli).*

Nad wierszami są litery: S: P:

Trzeci napis w iedném tylko zawiera się imieniu, to iest, *Julii* czwarty z tych pięknych był wierszy *Petrarka*

..... Chi non sa come dolce sospira
E come dolce parla, e dolce ride.

*(A któż nie wie iak ona mile wzdycha
Jak mile mówi, mile się usmięcha).*

Trzy ostatnie napisy są na trzech dużych skałach które formują niby jaką głąchą pieczarę mchem i różnym zielem pokrytą. Za zbliżeniem się ku niej, niewiem z kąd się wzięło w sercu nieiakieś ukontentowanie, tysiące miłośnych zdarzeń stanęło mi na myśli. Zdało mi się widzieć i słyszeć czułą *Julię* zakochanego *Saint-Preux*, lubą *Klarę* rozsądnego *Wolmara* i jego zacną małżonkę. Wyobrażenie ich pocieszającej miłości, tkliwej przyjaźni i szczęśliwości tak mocno pożądaney, lzy rozczulenia wycisnęło mi z oczu. Serce moje otworzyło się dla wszelkich uczuciow składających lubość życia i doznało tego wszystkiego co tylko mieć w sobie może naytkliwsza miłość.

Niechciałem opuścić *Świątyni Miłości* nie uczyniwszy modlitwy do iéy patrona za moją przyszłą.... Wzywałem więc Boga *Anakreonów* i *Tybulów* temi słowy: „Kupidynie! synu nieba i piękności, przyym naypoddąnszy hold mój i naypokornieyszą proźbę moją. Niech czystym i zawsze nieskazitelnym ogniem pała serce moje, niech na naywiększą zasługę przychylność twoją. Miłość wtedy iest prawdziwém bóstwem naszym, kiedy zgryzoty nie truią tego uczucia, oddal więc proszę odemnie wszelkie niepokoie i utrapienią, racz serce miłey moiey statecznie zachować ku mnie. Spraw

żeby *Hymen* brat twój kochany uwieńczył kochanie, którego śmierć sama przytłumić niepotrafi. “

Gdy tak modliłem się spadł deszcz obfity tak potrzebny wówczas zwątlonym od upałów słońca roślinom. Nie uciekałem od tego daru niebios i doznawszy przyrodzonego ukontentowania będąc przemokłym wniosłem, że ludzie mają coś wspólnego z krzewami. Zdawało mi się że samo życie oddychało, ptaszęta szukały schrony pod nawisłością gęstych gałęzi drzewnych, co widząc, upornie wytrzymywałem flagę deszczową. Wkrótce ustał deszcz a ja powróciłem do *Ermenonwilu*. Było o godzinie obiadowej; miałem apetyt i na zaspokoienie go obrałem z upodobania mléko. Jakże ten napój wydał mi się słodkim; przyjemnym! z iakąż lubością i smakiem zmaczałem w nim chleb, który mi się zdawał być ambrozyą niebieską. Prawdę powiedział *Monteń* (*Montaigne*) „*głód najlepszym jest kucharzem*“ słusznie powstawał na wytworność stolow, którą zbytek a nie istotna wprowadziła potrzeba. Słodka mierności! cnoto konieczna czulemu człowiekowi, znam dobrodziejskie pożytki twoje i nigdy ich nie przestanę używać. Ileż razy niepoświęciłem ci fałszywe rokosze, któremi ludziło mię zwodnicze łakomstwo. Zawsze uciekałem się do ciebie, a tyś mi nagradzała zdrowiem tym

drogim darem, który przez ciebie nauczyłem się cenić!.. Ty jesteś duszą życia, mistrzynią obyczajów i szczęśliwości. O tobie *Pitagoras* tak często uczniom swoim powtarzał: *ieżeli chcecie uchronić się namiętności aby te niesłabiły wrażeń duszy i słodkich uczuć serc waszych, niech umiarkowanie kieruje żądze wasze i rządzi życiem-waszym. Ludzie! chcecie być z siebie i drugich radzi, bądźcie wstrzemięźliwi.*

Koniec przechadzki trzeciej.

PROTEKTOR NAUK.

Natio comoeda est

Juvenalis. Sat. III. 100.

Dosyć wiele grają u nas komedyi.

Doktor Jakób Bartłomiej SOTTOBETINIUS pękaty i chropowaty iak kufa od staréy wódki, słynął z nauki i niewypowiedzianej bystrości w poymowaniu rzeczy, a słynął na iedney małej uliczce w iedném małym także mieście. Do tego wszystkiego łączył ieszcze nadzwyczajną pracowitość i gwałtowny zapal protegowania i nauk i uczo-nych. Ta praca i ten zapal mogłyby nieraz nayszkodliwiej działać na zdrowie doktora, gdyby mu dobroczynna natura nie dała baryłkowatej postaci i Samsonowey

siły. Prawda że się trochę iakał, że częstokroć trzeba było zasnąć nim trzy słowa wybęknął, prawda że iego *fisis* (że tak powiem) miała coś analogicznego z iego nazwiskiem; ale oprócz tego, że z podobnych wad śmiać się nienależy, iak to łagodny *Hebreus* zaleca (1), lecz owszem ubolewać nad niemi potrzeba, oprócz tego mówię Pan *Sottobetinius* miał sto tysięcy rocznego dochodu, był znacznym urzędnikiem i dawał klassyczo-poetyckie obiady, a zatem był prawdziwie uczonym człowiekiem. Dnia iednego wstał bardzo rano o godzinie dziewiątej, a że tak rano przetarłszy oczy ze snu, i wydobywszy się z puchu, w którym utopiony przez 12 godzin leżał, nie zwykł miéwać zdrowych myśli, zapalił więc dwa razy dłuższą od swej figury lulkę, i nadąwszy się tak uroczyście iak ów *Ali Safagilda* dwóbuńczuczny Basza Janiny, kiedy daie posłuchanie tym co go słyszeć mogą (2), wolnym krokiem szarował pantoflami, woskowaną przed rokiem posadzkę. Z każdym kłębem tytuniowego dymu iakakolwiek myśl ulatywała do góry; myślał więc, ale niestety myślał niewiadomo oczém dla potomności! W tym swoim marszu wzdłuż

(1) Obacz. *Janua Hebraismi.* pag. 131.

(2) Ob. *Res gesta apud Turcas.* fol. 65.

obszerney sali miał swoje stacye dla spoczynku, przy każdym stoliku rachował na palcach kadencye, wzdychał okropnie kiedy mu nie przychodziły, a jeżeli iakie z palców wylazły dyktował zaiękliwym głosem skurczonemu w kącie sekretarzowi. Właśnie w tenczas usadził się utworzyć *akrostychon* z imienia iedney damy *Dotorydy*, ale nanieszczęście muza też usadziła się żadney mu nie dadź myśli, i żadnego rymu. Gryzł sobie palce nieborak, nakładał coraz więcej lulek, czmychał, kichał, burczał, a gdy to wszystko na nic mu się nieprzydało, dał znak długim rękawem od szlafroka udręczonemu sekretarzowi żeby sobie precz odszedł. W tém iakby iaką niewidzialną pociągnięny siłą, zastanowił się raptownie, stanął przed dużym zwierciadłem, pomedytował nad swoją wdzięczną postawą, która się naywierniey malowała, i pomiarkowawszy z niey, że w tym dniu do wielkich dzieł był usposobiony, poszedł do rejestru swoich projektów, które kalendarzowym sposobem na cały rok miał wyrachowane, i postanowił cały ten dzień protegować nauki. Więc niedługo czekaiąc pełen tak szlachetnych zamiarów ubrał się około drugiey po południu i wytoczył się wspaniale za bramę. Szczęście iak to powiadaia ślepe, samo lézie niektórym. Doktor *Sottobetinius* w ten moment spotkał iednego li-

terata, któremu bez żadney długiey przedmowy, ofiarował parę tysięcy dukatów dla tego iedynie, ażeby porzucił wszystkie inne zatrudnienia, iadł z nim razem, pił i pi-
sał dla niego naygrubsze ile można foliały: żeby ie szpikował greczyzną i łaciną bez oszczędności, i nakoniec wydawał pod iego imieniem, dla tego żeby się cały świat dziwił iak można pisać po łacinie, niewiadomo gdzie ucząc się tego ięzyka. Po ofiarowaniu tego nie wielkiego daru, doktor nasz niedając nawet czasu odpowiedzieć literatowi, wziął go pod rękę a zobaczywszy znak xięgarni wszedł razem z nim do niéy. Poprzewracał wszystkie xiążki, wylaiał kilku autorów których nie znał, splamił z nieostróżności kilka pięknych rycin, i przeprosiwszy ze zwykłą sobie grzecznością, zapytał Xięgarza czy ma i Drukarnią? Nie odpowiedział Xięgarz — A dla czego zapytał doktor? Bardzo naturalnie bo niémam na to funduszu. Będziesz go miał WMPan odemnie, iestem doktor *Sottobetinius*, lubię wspierać to wszystko co się do wzrostu nauk przyłożyć może, masz WPan dwa tysiące dukatów, załóż drukarnię i pamiętaj o mnie. To mówiąc otworzył drzwi pociągnął za sobą literata i wyszedł zostawując zdziwionego Xięgarza! — Ledwo o sto kroków oddalili się od xięgarni, kiedy się im nawinał ieden poeta znaiomy tyl-

ko literatowi; ten więc zarekomendował go zaraz doktorowi, który też nieomieszkał ofiarować poecie znaczney summy żeby się tylko chciał zająć wygladzaniem iego wierszy i deklamowaniem mu co dzień po dwie godziny niektórych madrygałów, piosnek i anakreontyków znajdujących się w kalendarzyku dla dam i kawalerów w Paryżu wydawanym. Daley zaczął serdecznie chwalić nadzwyczajne talenta poety, i ubolewać że go dawno już nieznał, a w ciągu tych pochwał wszedł do warstata iednego snycerza, z którym ieszcze się nieprzywitał a już skarżąc się na cały kray, że tak mało umięą w nim szacować piękne sztuki, przysiągł zdumionemu snycerzowi, że musi mu zbrobić majątek, i ogłosić się iego mecenasem. Na dowód czego kazał mu robić swóy posąg, ofiarował zań tysiąc kilkaset czerwonych złotych, i zapyrzywszy się wyleciał nagle przezedrzwi. Wtenczas ieden z iego towarzyszków dorozumiewając się co za rolę gra na świecie Pan Doktor, chciał się usunąć z iego miłej kompanii, zbaczając cichaczem krętą uliczką; ale go zatrzymał Sottobetinius, przycisnął do serca i okrył straszliwemi całusami, tak że syn Apollina przez samą wdzięczność musiał ciągnąć się za swoim mecenasem. Szli więc razem, ale szli w milczeniu, wszystko przepowiadało, że Pan *Sottobetinius*,

cós wielkiego układał w swéy głowie, kiedy nagle spóyrzawszy na drugą stronę ulicy poskoczył do iedney figury, która się okolo muru *incognito* przesuwala. Był to Redaktor iednego pisma peryodycznego, który leciał za iakimś pilnym interesem, ale nieuniknął natręctwa zapalonego Doktora. Zařaz mu ten ofiarował swoią protekcyą i pomoc piéniężną, ażeby tylko chciał dać obszerniejszy i stosowny do iego chęci plan swoiemu dziennikowi i umieszczał pisma, których mu Doktor udzielać będzie. Zezwolił odrazu na wszystko biédny Redaktor, byleby tylko na ten raz uwolniono go łaskawie od tak niewczesney protekcyi, ale nasz Pan *Sottobetinius* niepospolity flegmatyk, mimowolnie może dał porządną lekcyę cierpliwości Redaktorowi, bo go póty niepuścił aż mu nie przyrzekł, że połowę kosztu redakcyynego na siebie przyymie, i że choćby mu to miliony kosztowało, musi sławę tego pisma wznieść pod niebiosą. Wtenczas ieden z towarzyszących Doktorowi, widząc że końca iego protekcyynym zapędóm nie będzie, przypomniał mu grzecznie, że się iuż skłaniało ku wieczorowi, i że na dziś dosyćby iuż było tyłu pięknych czynów. Ale ieszcze ostatnie słowa téy sprawiedliwej perswazyi nie były skończone, kiedy za całą odpowiedź swym kollegóm wciągnął ich *Sottobetinius* po dro-

dze do domu Towarzystwa Dobroczynności. „Widzieliście, rzekł Doktor, całą moją hojność względem nauk, nie mogę tego przewieść na sobie żebym się równie wspaniałym nieokazał dla ludzkości.“ To mówiąc kazał sobie podadź się ofiar i wymalowawszy potężnemi głoskami swoje nazwisko i wszystkie tytuły, zapisał corocznie dla towarzystwa po sześć set dukatów. Tak wielkomysłny czyn był przecie ostatnim ze wszystkich dzieł Doktora *Jakóba Bartłomieia Sottobetiniusa*: dał się bowiem na klonic i powrócił do domu. Zaledwo znalazł się w owéy sali po którey tak mistyczną zrana odbywał przechadzkę, aż natychmiast przyszło mu na myśl, że wychodząc z domu nayważniejszey rzeczy zrobić zapomniał. Ponieważ, trzeba o tém wiedzieć, że nasz protektor czuiąc się bydz słabym z urodzenia co do artykułu, nie mówię, rozumu, ale nawet i pospolitego rozsądku, szukał iakieykolwiek prezerwatywy od téy grubey mgły, która od dzieciństwa mózg iego otaczała. Na szczęście w owych ieszcze złotych wiekach, kiedy reguły alwara klepał na pamięć nierozumiejąc ich wcale, razu iednego na examen nauczył się co do ioty iednego mieysca z Waleryusza Maxyma, gdzie ów powiada, że *Karneades* każdego roku kiedy miał dysputować z Chryzypem, dla nabycia rozumu i wymowy

zażywał zawsze rośliny *helleborum* zwanéy, po naszymu ciemierzycy, która podług dawniejszego mniemania miała własność uzdrawiać od głupstwa. Ta wiadomość tak mu się w pamięć wraziła, że w późniejszych czasach, kiedy i urząd i autorstwo zwały się na iego biędną głowę, nie zaniechał przystosować iéy do swojego użytku. Niestety! zapomniał się tego dnia, ale zapomniał się najfatalniey na świecie. Skoro tylko bowiem zażył lekarstwa, natychmiast okazała mu się cała krytyczność iego położenia. Zmarszczył się srodze, kichnął, zakrztusił się i wrzasnął, a rozsądek w piękney lecz surowey postaci stanąwszy przed złąknionym Doktorem, taką mu dał naukę. „Bez-sensowny człowieku! natura nieumieściła cię wprawdzie w liczbie tych, którzy są poddani moiéy straży; lituiąc się iednak nad tobą iak nad istotą na podobieństwo człeka stworzoną, przybywam ci na pomoc, bo widzę że nie trafiłbyś pono z swoją protekcyą do końca! wlaźł tobie nie-szczęśny Doktorze ćwiek iakiś w głowę, który ci niepozwała iaśnie widzieć, że chcąc opiekować się naukami, nie trzeba same-mu bydz dla nich obcym, ani zasadzać całego swojego rozumu na skleieniu w iedną ramotę wypisanych z kilku autorów wierszy. Strzeż się ieszcze bardziéy rozciągać owych skrzydeł protekcyi nad tymi co są

prawdziwie uczonymi, bo dla dwóch powodów możesz się narazić na ich żarty; raz że miłość ich własną obrazisz przez chęć równania się z nimi, powtóre że nowy znaydą zasilek dla swojego talentu, widząc takiego oryginała przed sobą, dwoiako zatem drwić będą z ciebie. Nakoniec nie bądź tak hoynym w szafowaniu twoiéy fortuny, bo kilka razy większa od twoiéy niewystarczyłaby na dogodzenie tak wielkim szalom. W iednym dniu chciałeś rozdać summę dwuletni nawet twóy dochód przechodzącą; szczęście, że to były próżne słowa, a słowa ulatują z wiatrem. Byway zdrów na umyśle, iakéś zdrów na ciele! jeżeli nie zdarzy mi się nigdy spotkać iuż z tobą, niezapomniy brać odtąd co dzień potężne dozy *helleborum*.

ZNIKOMOŚĆ RZECZY LUDZKICH.

Vanitas vanitatum et omnia vanitas.

Klnę się że królom tronu nie zazdroszczę,
 I o zwycięzkie laury mało dbam,
 O zbiór znikomych bogactw się nie troszczę,
 Bo próżność świata przemiennego znam.
 Ani chcę suszyć lba żądzą daremną
 By moię wielkość wspierał obcych trud,
 Lub groźny liktor, przodkuiąc przedemną
 Rostracał strachem przerażony lud.
 Niech oni losem rządzą ludzkiej doli,
 Gdy im tryb rządu, nadał ślepy traf;
 Mnie zaś bynajmniey ztąd głowa nie boli,
 Zem w ich szeregu ni xiąże, ni graf.

Gdy prawom wierny rząd kraiu szanuję,
Zbrodni się strzegę, chodzę torem cnót,
Bliźnich rad wspieram, nad sobą panuję,
Z resztą nie stukam do fortuny wrót.
Bo znam że wszystko, na co w świecie patrzę,
Z blaskiem dostojęństw, jest to istny sen,
My zaś na świecie, iakby na teatrze
Iesteśmy krótkich aktorami scen.
Królowie! którym świat w miedzach jest ciasny,
Przykro opuszczać wam przyydzie ten dzień,
Tron pełen władzy, iako nie swój własny,
Już schodzi z świata iakby marny cień.
Przyydzie nie mylnie kres próżney wielkości,
I w iednym dole legnie z chłopem pan;
Gdzie bez kalibru uszlachconych kości,
Śmierć nas porówna wszystkich w ieden stan,
Tam niedostępni dla pychy panowie
Do których woli tłum się cisnął slug:
Iak z iedney gliny Adama synowie,
Zginą! z tym obok co ich dźwigał plug.
Ten co niezmiernych planet bieg oznaczył,
I kto natury skrytey, pojął moc,
Kto ruch ogromney ziemi wytłumaczył,
I w liczbę godzin spoił ze dniem noc.
Kto dawcą mądrych praw w narodzie sływał,
I kto przemocną siłą znękał świat,
Skoro już sławy głośny dzień upłynął
Kędyż są oni? gdzie ich proszę ślad?..
Widzę z marmuru niebotyczne groby,
W których się kryje ich nikczemny pył;
Lecz cóż im proszę teraz z tey ozdoby,
Kiedy proch nie zna czy czem kiedy był?
Dla mnie czy dziki chwast, czy wonne róże
Po śmiertnym zgonie, grób mój będą ćmić,
Ani zaszkodzi, pewnie ni pomoże
Kiedy bez czucia przyydzie wiecznie gnić.

R. Korsak.

UWIADOMIENIE.

Tymże co i dotąd porządkiem, to jest 15tego i ostatniego dnia każdego miesiąca, Tygodnik Wileński na rok przysły 1820 wychodzić będzie.

Zamiarem starań wydawcy jest, połączyć w tym piśmie, z przyjemną zabawą, ciekawe oraz (ile to być może) interesujące i pożyteczne wiadomości, mianowicie o rzeczach własnego kraiu. Przeto, powieści oryginalne z dzieiów narodowych, zwyczaje i sposób życia mieszkańców rozmaitych prowincyi składających niegdyś polskę, wiadomości o pisarzach, lub też ludziach pod innym względem do sławy oczystey należących, nie ogłaszane dotąd drukiem prace, nadewszystko poetów naszych; tudzież lekkie, a trafne, w sposobie dowcipney satyry malowidła obyczajów współczesnych, mieścić się będą w Tygodniku, niewyłączając i pism innych, byleby tylko nieprzeladowanych głęboką erudycyą, i nie nadto poważnych, te byciem iako dla ogółu czytelników niedogodne przyzwoitsze znajdują miejsce w Pamiętnikach wyłącznie naukom i umiejętnościom poświęconych; między któremi a zupełnie ulotnemi pisemkami, Tygodnik środkowe chce zapępniać miejsce.

Prenumerata roczna taż sama jest co w roku przeszłym trzy ruble srebr. bez poczty, a pięć z pocztą. Prenumerować można, w Wilnie w Xiegarni XX. Piarów u Alexandra Zolkowskiego, w Redakcyi pism peryodycznych u P. Antoniego Marcinowskiego w Xiegarni Uniwersytetu u P. Józefa Zawadzkiego, tudzież w głównym Pocztańcie litewskim i we wszystkich ekspedycyach tegoż Pocztańtu.

Pisma do umieszczenia w Tygodniku i korespondencye przesyłać się mają pod adresem niżej podpisanego.

Nota: Prenumerotorowie zyczący sobie mieć Tygodnik na lepszym papierze dołożą do zwyczajney opłaty po rublu iednym.

Alexander Zolkowski.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miysc prawem przeznaczonych. Dnia 8 miysiąca Października roku 1819.

X. Jan Kanty Chodani Prof. Or. Czł. Kom. Cenz.

X. F. N. Golański Wyst. Prof. Czł. Kom. Cenz.